

CAMERA OBSCURA. REMANENT ZALEGŁOŚCI

Kolaz Wisława Szymborska



Prof. Andrzej Nowak („W Sieci” 2013, nr 2) radzi, by krytycy powstania styczniowego zastanowili się także, co działo się z Polakami, jeśli się nie buntowali – i szeroko opowiada o represjach rosyjskich w l. 1832–1873. A przecież represje te były właśnie rezultatem obu powstań – z r. 1830 i 1863! I trzeba powiedzieć jasno: jakkolwiek czcić należy patriotyzm i heroizm powstańców (nie wszystkich, nie wszystkich!) – każde powstanie powodowało pogorszenie się sytuacji narodu pod zaborem rosyjskim. Dalej Nowak stawia tezę, że choć powstanie styczniowe przegrało, to jednak cel swój osiągnęło. Uzasadnia to opinią prof. Henryka Wereszyckiego, który pisał, że popowstaniowa praca oświatowa na wsi i walka o duszę chłopca polskiego była „przedłużeniem jakby władz i działań Rządu Narodowego”. Teza to bardzo ryzykowna – hasła i dekrety rządu powstańczego jako inspiracje dla popowstaniowych rzeczników pracy u podstaw. Ale jeśli nawet się z nią zgodzić, powstaje pytanie: czy to ideowe zwycięstwo równoważy katastrofalne straty spowodowane przez rok 1863? Wiadomo, że nawet w największej klęsce dopatrzeć się można niektórych pozytywnych jej następstw.

A przy tym spowodowane przez powstanie uwłaszczenie chłopów przez carat wywołało wzrost ich zaufania i wdzięczności wobec władz zaborczych. Chłopi zapamiętali sobie także represje w stosunku do nich stosowane przez żandarmerię powstańczą.

W „Do Rzeczy” (2013, nr 1) Nowak pisze, że w r. 1963 „w najbardziej demagogiczny i lizusowski pod adresem Moskwy sposób” zaatakował sens powstania styczniowego Stanisław Stomma w „Tygodniku Powszechnym”. Trzeba nieprzeciętnego tupe- tu, by taką insynuacją obrażać pamięć jedyne- go posła, który w 1976 r. wstrzymał się od głosu przy uchwalaniu zmian do konstytucji PRL, wprowadza- jących m.in. zapis „PRL umacnia przyjaźń i współ- pracę z ZSRR”.

Słusznie więc prof. Nowak („Rzeczpospolita” z 19 III 2013) prosi o modlitwę za siebie i wszystkich Po- laków, „żebyśmy nawzajem lepiej mogli zrozumieć swoje racje, bez obelg”. Modlitwa taka jest mu bar- dzo potrzebna. Trzeba przyznać, że ostatnio stara się iść w tym kierunku – postawie antyromantycz- nej nie odmawia on swoistego patriotyzmu, nie na- zywa jej antypolską. Ale postawę tę krzywdząco de- finiuje – dyktuje ona „potrzebę podporządkowania się dominującej sile”. Tymczasem postawa ta, któ- rą Nowak nazywa także „pewnego rodzaju reali- zmem” – dyktuje co innego: działać patriotycznie, ale z konieczności nie przekraczać granic legalizmu.

Anna Cegieła w artykule *O retoryce pogardy i wykluczenia w polskim dyskursie publicznym* („Poradnik Językowy”, nr 9) stwierdza wprawdzie, że „wszystkie strony wszystkich sporów posługuje się podobną retoryką”, ale obiektywizm ten jest pozorny: jedy- ne dłuższe cytaty pochodzą z publicystyki centro- lewicowej (Tomasz Jastrun, Jacek Żakowski, Broni- sław Łagowski), takie jest też źródło większości innych przykładów tej retoryki.

W przekładzie *Międzynarodówki* Pottiera, dokon- anym przez Jana Riesenka (2012, nr 11) znaleźć można następujące potworki językowe i sty- listyczne: „Jesteśmy niczym, bądźmy wszem”, „We własną kuźnię będziem tchali”, „Grabią nasz pot, co z czoła zszedł”, „Chcąc tylko to, co jego wszak”, „A gdy się uprą zgrają całą Naszego męstwa siłę zaznać”. Nie chce się wierzyć, że redaktor „Lam- py” czytał ten tekst przed oddaniem go do druku.

Otrzymałem ostatnio grzecznościowy list od kie- rownictwa pewnej ważnej instytucji naukowej, z któ- rą mam luźny tylko kontakt. Z podziękowaniem mam jednak trudności: pod listem są aż trzy pod- pisy – każdy z nich zupełnie nieczytelny! Ten oby- czaj stawiania nieczytelnych podpisów jest coraz to powszechniejszy. Ci, którzy go stosują, nie liczą się

z tym, że uznany być może (czasem niesłusznie!) za przejaw nazbyt wysokiego mniemania o sobie, i/lub lekceważenia adresata.

Wiesław Kot („Uważam Rze” z 10–16 XII 2012) pisze: „Stalin nie żyje. [...] Bierut za chwilę do Moskwy wyjedzie w futerku, a wróci w kuferku”. Autor jest niepokorny wobec faktów – Stalin zmarł w r. 1953, Bierut nie za chwilę, lecz dopiero trzy lata później.

Przemysław Trzeciak („Nowe Książki” 2012, nr 12, s. 76) twierdzi, że „tajemniczy Walentin Wołoszynow” to „autor bez życiorysu”, Odrzuca poglądy tych, którzy twierdzą, że w ogóle nie istniał, domyśla się, że to „raczej myśliciel z kręgu Bachtina, który znikł w morzu stalinowskich czystek”. Tymczasem nie trzeba się domyślać – wystarczy zajrzeć do internetu, by znaleźć tu bio-bibliografię i nawet fotografię Wołoszynowa. Był on profesorem w Leningradzie, a zmarł na gruźlicę w r. 1936. Co do słynnej książki *Marksizm i filozofia języka* – nie wiadomo, czy napisał ją Wołoszynow z inspiracji Bachtina, czy też sam Bachtin pod nazwiskiem Wołoszynowa.

W książce Jerzego Bralczyka i Michała Ogórka, *Kielbasa i sznurek* (Wydawnictwo Agora SA, Warszawa 2012, s. 150) obaj autorzy tak sobie gawędzą: „MO: Ale jak słyszysz Jędrzeja Giertycha [...] kiedy opowiada, że teoria Darwina nie jest do końca pewna. On jest Jędrzej, prawda? JB: Tak, Jędrzej. Nawet bardzo Jędrzej on jest”. Szczerze mówiąc, nie wiem, co jest dowcipnego w powiedzeniu, że ktoś jest bardzo Jędrzejem. Sęk zresztą w tym, że obaj panowie się mylą. Bo ten Giertych, który wątpi w teorię Darwina, nazywa się Maciej.

W te same książki (s. 182) Bralczyk czyni Bacona autorem powiedzenia „Gdybyś milczał, pozostałbyś filozofem” chyba niesłusznie. Wywodzi się ono pośrednio z *Księgi Hioba* (13,5): „Gdybyście chcieli zamilknąć, byłby to znak roztropności”.

Tenże autor przypisuje jakiemuś wieśniakowi z Teksasu słowa „To zwierzę nie istnieje”, wypowiedziane na widok żyrafy w ogrodzie zoologicznym (s. 196). Tymczasem słowa te pojawiły się pod rysunkiem w „Everybody’s Magazine” z r. 1907, przedstawiającym wielbłąda.

Zdaniem Bralczyka (s. 277) *Ta ostatnia niedziela* to chyba tekst Warsa. Wars był kompozytorem, tekstów piosenek nigdy nie pisał. Autorem tanga *To ostatnia niedziela* był Zenon Friedwald.

Andrzej Stasiuk („Newsweek” 2012, nr 51/52) wyjaśnia, że nazwał jedną ze swoich owiec mianem Smoleńsk bez intencji obrazy, przeciwnie – z intencją stosownego upamiętnienia tragedii smoleńskiej, bo przecież owca symbolizuje niewinną ofiarę. Szanując znakomitego pisarza, nie powiem dosadnie (choć Stasiuk lubi dosadność), że rznie on tu głupa; dziwię się jednak, że nie zdaje sobie sprawy, iż podejrzenie o prowokacyjne szyderstwo było tu całkowicie uzasadnione. I można zadać pytanie, czy nazwałby on także krowę (jak wiadomo – zwierzę łagodne, pożyteczne itp.) – Jedwabną, a psa (najwierniejszy przyjaciel człowieka) Katyniem.

W tomie II *Listów* Anny i Jarosława Iwaszkiewiczów (Czytelnik, Warszawa 2012) trzeba podziwiać dociekliwość Małgorzaty Bojanowskiej i Ewy Cieślak, które opracowały przypisy do tego zbioru – udało się im ustalić dane biograficzne nawet mało znanych postaci. Znów jednak budzi sprzeciw elephants biogramów postaci dobrze znanych, a w liście tylko wzmiankowanych. Oto przykłady. Iwaszkiewicz pisze w jednym zdaniu, że w Wiedniu był na grobie ks. Reichstadtu, przypis nie tylko podaje jego życiorys, z takimi szczegółami, jak np. że w r. 1831 jego kandydatura była wysuwana do tronu polskiego, ale i przytacza *in extenso* napis na jego grobie.

Anna z kolei jest rozbawiona tym, że Irzykowski, który publikował jeszcze o pisarzach młodopolskich, teraz „pisze o Wacie i o Peiperze” (s. 432). I tu otrzymujemy całostronicowy (!), *petitem* złożony życiorys Peipera z wymienieniem wszystkich czasopism, w których choćby sporadycznie publikował swe utwory, ale z pominięciem tego faktu, że z końcem życia był psychicznie chory.

Także Jan Strzałka wykonał ogromną, godną szacunku pracę, komentując korespondencję Julii Hartwig i Artura Międzyrzeckiego z Jerzym Turowiczem w tomie *Wspólna obecność* (Wydawnictwo a5, Kraków 2012). Ale czy w swej akrybii nie przesadził? Czytamy tu np. w nocy do pewnego listu Hartwig z 10 VII 1950 r., że na kopercie znajdują się „dwa znaczki z podobizną Bolesława Bieruta i trzy z gołąbkami pokoju i z hasłem »Wywalczymy trwałą pokój«,” oraz jeden z trójką murarską odbudowującą Warszawę. Stempel: Łągów Lubelsk. 10 VII 50, Kraków 11 VII 50. Dodatkowo stempel z hasłem: „Żądamy zakazu broni atomowej. Rząd, który pierwszy użyje broni atomowej, będzie potępiony przez ludzkość jako zbrodniarz wojenny”.

CAMERA OBSCURA. REMANENT ZALEGŁOŚCI

Można by złośliwie zapytać, dlaczego edytor nie podał także, jaka była wartość znaczków nalepionych na liście, kto je zaprojektował i dlaczego nie umieszczono życiorysu tego projektodawcy. Edytorzy, opamiętajcie się! (Dopisek w korekcie: ale akurat za to pochwalił edytora Piotr Szewc w „Nowych Książkach”, nr 3).

Przy okazji: na s. 39 edytor pisze, że po ataku Ważyka na Zjeździe Literatów w r. 1950 Gałczyński „objęty był zakazem druku”. Rozmija się to z rzeczywistością. Żadnego oficjalnego zakazu nie było. W Polskiej Bibliografii Literackiej za lata 1950–1951 utwory Gałczyńskiego zajmują dwie szpalty. Redaktorzy niektórych pism obawiali się go drukować, inni, np. Marian Eile w „Przekroju” – nie. A w redagowanej przez siebie „Twórczości” Ważyk opublikował w tym samym r. 1950 wiersz Gałczyńskiego *Spotkanie z matką*.

Na s. 361 mowa jest w komentarzu o tym, że niżej podpisany uczestniczył w spotkaniu intelektualistów z członkami Biura Politycznego KC PZPR i innymi prominentami partyjnymi 25 II 1982. To pomyłka – zapewne chodzi o prof. Władysława Markiewicza. Nie jedyny zresztą raz nas z sobą mylono.

Tadeusz Sobolewski („Gazeta Wyborcza” z 22–23 XII 2012) w wywiadzie z Andrzejem Titkowem o dziadku jego matki, lekarzu lubelskim, Marku Arnszteinie, twierdzi, że uważany był za pierwowzór doktora Judyma. Coś tu Sobolewski pokręcił. Marek Arnsztejn to polsko-żydowski literat. Lubelski lekarz nazywał się Jan Ernsztejn, ale urodził się w r. 1897, a więc na trzy lata przed wydaniem *Ludzi bezdomnych*, nie mógł więc być pierwowzorem Judyma.

Profesor Wojciech Morawski w wywiadzie umieszczonym w „Ale Historia” (nr 48) powiada: „Pamiętamy, jak doktor Judym podziwiał w Paryżu urządzenia sanitarne, higienę”. Nie, Panie Profesorze, nie pamiętamy, bo o niczym takim nie ma w *Ludziach bezdomnych* mowy. Wręcz przeciwnie: Judym w odczycie dla warszawskich lekarzy opowiada o okropnych warunkach higienicznych panujących zarówno w paryskiej noclegowni dla bezdomnych, jak i w osiedlach robotniczych („dzieci całymi gromadami snują się po schodach zarażając się wzajemnie chorobami i zepsuciem”).

Pomylił się też Juliusz Kurkiewicz („Gazeta Wyborcza” z 28 XII 2012), pisząc: „Hegel twierdził, że wszystkie

historyczne fakty się powtarzają – najpierw jako tragedia, potem jako farsa”. To przecież słynne zdanie Marksa z pracy *18 brumaire’a Ludwika Bonaparte*.

Dariusz Wilczak w wywiadzie z ks. prof. Michałem Hellerem („Newsweek” 2013, nr 1) zauważa kostycznie, że Bóg „cierpienie biblijnego Hioba jakimś przypadkiem jednak nie zauważył”. Prof. ks. Heller puszcza to mimo uszu, a przecież *Księga Hioba* najwyraźniej opowiada, że Bóg zezwolił Szatanowi, by poddał jej bohatera najcięższymi próbom, dla przekonania się o jego pobożności.

Małgorzata I. Niemczyńska („Gazeta Wyborcza” z 29–30 XII 2012), pisząc o młodym Jerzym Giedroyciu: „On sam częściowo żyje jeszcze w klimacie Młodej Polski, jest np. zdania, że prawdziwy mężczyzna powinien zawsze nosić pumpy”. Otóż po pierwsze – pumpy były strojem tylko sportowym. Po drugie – o ile się nie mylę – weszły w Polskę w modę dopiero w okresie międzywojennym.

Ks. Robert Skrzypczak („W Sieci” 2013, nr 3) sądzi, że „Boga nie ma”, „Dusza to komórka nerwowa”, „Uderz w pysk ojca” to hasła o korzeniach bolszewickich. Ks. Skrzypczak nie wie, że są to poglądy, jakie rosyjskim nihilistom przypisywali ich przeciwnicy w latach 60. XIX w.

Panowie Mazurek i Zalewski (w tymże numerze „W Sieci”), zwracając się do red. Tomasza Sakiewicza per „Tomku”, wyjaśniają, że czynią to „po starej znajomości”. Wątpić jednak można, czy stara znajomość uzasadnia nazywanie przez nich prezydenta Komorowskiego „Wujkiem Bronkiem”, a premiera Tuska – „Donkiem”. Zapewne wydaje im się, że tak będzie śmieszniej. Kiedyś mówiono o takich poufałościach: *Plus de confidences que de familiarités*.

W serii e-booków *Wielcy aktorzy czytają wielką literaturę* określenie „wielcy aktorzy” jest w stosunku niektórych aktorów – utalentowanych, wybitnych – jednak pewną przesadą. A już na pewno obecne w tej serii pocziwe czytadło Dołęgi-Mostowicza *Znachor* nie mieści się w wielkiej literaturze.

Z gawędy Krzysztofa Masłonia *O wyższości cynizmu Gałczyńskiego nad niemoralnością Tuwima*. Tekst zgoła niejubileuszowy („W Sieci” 2013, nr 1) wynika, że niezbyt wysoko ceni on drugiego z tych poetów – sądzi, że „wyłączywszy fragmenty *Kwiatów polskich*

nie bywa wielkim poetą, lecz raczej poetyckim kuglarzem” i wolałby, by w r. 2013 celebrowano zasługi Gałczyńskiego – woli jego „cynizm od »gier czy gierek« Tuwima z etyką”. Na czym owe gry Tuwima i ich niemoralność polegały – trudno zgadnąć; przykłady podane przez autora mówią tylko o zmianie jego poglądów na Piłsudskiego i o naiwnej, bombastycznej egzaltacji w stosunku do komunizmu i ZSRR. Jeden z tych przykładów to taki właśnie fragment listu Tuwima. Nie podaje jednak Masłoń kontekstu, w jakim ten cytat występuje. Kamerzysta nie umiał go znaleźć; wiele jednak przemawia za tym, że był to list interwencyjny do Józefa Różańskiego, dyrektora Departamentu Śledczego M.B.P.

Tu trzeba zauważyć, że Masłoń docenia te interwencyjne starania poety i pisze: „uratowane życie ludzkie nie ma swojej ceny i musi decydować o generalnej ocenie życia i twórczości Juliana Tuwima”. I jeśli Tuwim grał tu z etyką – to dla ocalenia skazańca, zmyślał np. że rodzina głównego oskarżonego pomagała matce Tuwima w czasie okupacji.

Masłoń jest bardzo skrupulatny i, jak widać, surowy wobec grzechów politycznych Tuwima. Wypomina mu też bardzo powściągliwy przecież w krytyce jego powojenny list do Gałczyńskiego. Natomiast wybacza Gałczyńskiemu – bez uzasadnienia – jego cynizm. Zapewne chodzi tu o jego czołobitne wiersze socrealistyczne („zapewne” – bo wprost o nich Masłoń się nawet nie zająknął). Cynizm nie odnosi się chyba do jego przedwojennych ONR-owskich z ducha wypowiedzi wierszem i prozą. Kamerzysta nie będzie tu ich przytaczał, bo są niestety haniebne. Pozwala sobie o nich przypomnieć tylko dlatego, że Masłoń tak pamiętliwy w stosunku do Tuwima, udaje, że o nich nie wie, oceniając Gałczyńskiego.

W „Nauce” (2012, nr 4) ukazał się rocznicowy artykuł Krzysztofa Mrowcewicza *Skarga nad Skargą* – odważny w swym zgoła nierocznicowym krytycyzmie, a przy tym świetnie napisany. Trudno jednak pojąć, dlaczego autor pisze we wstępie do swego tekstu, że jest to przykład „*exordium ex abrupto*”, retorycznym efektem, złożonym w hołdzie wielkiemu oratorowi, ćwiczeniem z hipotykozy i innych figur *verborum et mentis*. „Nauka” jest piśmem czytany głównie przez naukowców różnych dziedzin. Większość z nich zatem z takiego wylotu niewiele zrozumie.

Trudno powiedzieć, co miał na myśli Ryszard Makowski („W Sieci” 2013, nr 4), pisząc: „Oglądając

drewno reklamy z udziałem Marka Kondrata, trudno nie popaść w euforię”. Zdaje się, że autor nie rozumie sensu słowa „euforia”.

Autorka podpisana literkami miz („Odra” 2013, nr 1, s. 138) pisze, że przedwojenne „Wiadomości Literackie” wydawane były na „zwykłym gazetowym papierze”. Widocznie nie miała nigdy tego pisma w ręce. Drukowane one było na dobrym papierze ilustracyjnym i było drogie – numer kosztował 80 groszy!

Memento hortis – tak brzmi tytuł artykułu Włodzimierza Karola Pessela w „Lampie” (2012, nr 12). Prawdopodobnie ma to znaczyć „Pamiętaj o ogrodach”. Ale dziwna to łacina. Czasownik „*meminisse*” wymaga rzeczownika w dopełniaczu lub bierniku, więc dopuszczalne byłoby tylko „*Memento hortorum*” lub „*Memento hortos*”.

W związku ze spektaklem *A ja Hanna* teatru w Opolu, Aneta Kyzioł pisze w „Polityce” (2013, nr 5), że Kochanowski, pogrążony w żalobie po stracie Orszulki, drugiej swej zmarłej córce, Hannie, nie poświęcił uwagi. Pomyłka: w drugim wydaniu *Trenów* z r. 1583 pojawiło się *Epitafium Hannie Kochanowskiej*: „I tyś, Hanno, za siostrą prędko pospieszyła / I przed czasem podziemne kraje nawiedziła, / Aby ociec nieszczęsny za raz odżałował / Wszytkiego, a na trwalsze rozkoszy się chował”.

Prędej czy później każdy – nie wyłączając autora – trafia do „Camery”. Zdarza się to więc nawet prof. Jackowi Majchrowskiemu. W wywiadzie udzielonym „Gazecie Wyborczej” (z 9 II 2013) powiedział on, że Bolesław Piasecki nie miał podejścia rasowego, że antysemityzm falangistów polegał na pikietowaniu sklepów żydowskich, przy czym „czasem wybijano szyby” oraz na postulatach *numerus clausus* i *numerus nullus* na uniwersytetach. Czego zabrakło w tej zlagodzonej charakterystyce Falangi – nie trzeba chyba wyliczać. Nowością jest niepotwierdzona dotąd źródłowo informacja, że Żydom w czasie okupacji pomagała „duża część falangistów”. Ewidentną pomyłką jest twierdzenie, że Krzysztof Baczyński jako członek środowiska „Sztuki i Narodu” należał od ludzi związanych z Bolesławem Piaseckim. Ani jedno, ani drugie – nie jest prawdą.

W cennym wywiadzie z prof. Zbigniewem Mikołajką („Academia” 2012, nr 4) znalazły się dwie gąfy historyczne: rabacji galicyjskiej w r. 1846 nie moż-

CAMERA OBSCURA. REMANENT ZALEGŁOŚCI

na nazwać krakowską – do Krakowa ona nie dotarła. Błędem jest też informacja, że pańszczyzna w zaborze pruskim zniesiona została najpóźniej, bo dopiero w latach 80. XIX w. Wręcz przeciwnie; zniesiono ją najwcześniej – w Wielkim Księstwie Poznańskim w r. 1823, a w całej reszcie zaboru, należącej do Królestwa Prus, już w r. 1807.

Ks. Adam Boniecki („Tygodnik Powszechny” 2013, nr 5) cytuje słowa jakiegoś internauty „Mi się wydawało, że państwem powinni kierować ludzie”, itd. Sam pisze również: „Mi się nie podoba, więc wam siłą zabronię”. A przecież jeśli akcent zdaniowy pada na zaimek, dopuszczalna jest tylko forma „mnie”. Czyli „Podoba mi się, że...”, ale „Mnie się podoba, że...”.

Sporo sknocił Tomasz Łysiak w eseju *Wilcze gniazdo, czyli o polskiej twierdzy Sienkiewicza* („Gazeta Polska” 2013, nr 6). Najpierw – mylny jest domysł, że pierwotny tytuł powieści *Ogniem i mieczem – Wilcze gniazdo* miał być „przepiękną metaforą” Polski jako twierdzy przeciw „wszystkiemu, co dzikie i barbarzyńskie”. Najpewniej chodziło po prostu o Rozłogi, siedzibę Kurcewiczów, o której w ostatecznym tekście czytamy, że „bardziej od innych wyglądało na jakieś drapieżne gniazdo” (a swoją drogą metafora „wilcze gniazdo” nie tylko nie jest piękną, ale wręcz niefortunna – wszak wilki gniazd nie budują!). Fantazjuje T. Łysiak, pisząc, że „Sienkiewicz z Orzeszkową prowadził polemiki i korespondencje bardzo ostre”. W rzeczywistości – nigdy nie polemizował, ogłaszał tylko recenzje z jej wczesnych powieści, krytyczne, ale nie odbierające autorce zasług literackich. W książce jubileuszowej dla Orzeszkowej *Upominek* umieścił drobny pt. *Sen*. Poza jednym listem nie ma śladu, by Sienkiewicz z Orzeszkową korespondował.

Głupstwa pisze T. Łysiak, twierdząc, że Sienkiewicz już jako noblista „był opluwany z zazdrości przez rodzimych konkurentów”. Konkurentką do Nobla była Orzeszkowa, która ani jednego słowa o Sienkiewiczu nie napisała. A ci, co go atakowali – Wacław Nałkowski, Stanisław Brzozowski ani nie czynili tego z zazdrości, ani do Nobla nie pretendowali.

Adam Wierciński, mój komiliton w walce z błędami i bredniami w prasie i książkach, („Odra” 2013, nr 2, s. 141) obrusza się na nadużywanie eufemizmu „wkurzać się”. Eufemizm to odległy od wyrazu, od

którego pochodzi i nikogo nie obraża, a jest określeniem dogodnym i ekspresywnym. Nie zastąpi go w rozmowie ani nazbyt gwałtowne „wściekać się”, ani zbyt książkowe „rozgniewać się”, ani staroświeckie już „obruszyć się”. Więc początek tej noty nawet lepiej brzmiałby w wersji „Adam Wierciński wkurzył się na nadużywanie eufemizmu »wkurzać się«”.

Najdelikatniej mówiąc – meandrycznie prezentuje linię repertuarową Teatru Polskiego jego dyrektor Andrzej Seweryn („W Sieci” 2013, nr 5). Ma ona ukazywać, że „nie abstrahujemy od naszych chrześcijańskich korzeni, czego dowodem będzie nie tylko np. *Irydion*, ale i *Zemsta* Aleksandra Fredry z pamiętną frazą Rejenta »Niech się dzieje wola nieba...«, pokazującą, jak to on traktuje Słowo Boże. W tym sensie komedia ta staje się kontynuacją *Irydiona*”. *Irydion* i *Rejent* – dotąd chyba nikt o takiej paranteli nie pomyślał.

Niedawno ukazały się *Listy do narzeczonej* Władysława Natanson (Polska Akademia Umiejętności, Kraków 2011), znakomitego fizyka, a zarazem humanisty, z czasem rektora UJ. Przyszłą jego żoną była Elżbieta Baranowska, wychowana w domu swego stryja, warszawskiego profesora medycyny Ignacego Baranowskiego. W biograficznym wstępie Irena Homola-Skąpska pisze, że „od początku znajomości wiele dzieliło Elżbietę i Władysława, ale znacznie więcej łączyło” (s. 11). Według autorki – tym, co obojga dzieliło, to była różnica wieku (13 lat), sytuacja materialna i zainteresowania. O jednym czynniku tu nie wspomniano – Natanson pochodził z rodziny żydowskiej, był synem Henryka, znanego lekarza, asymilatora, społecznika, ale zarazem prezesa warszawskiej gminy żydowskiej. Władysław przyjął chrzest w r. 1900, prawdopodobnie już w okresie narzeczeństwa. O tym wszystkim – ani słowa w obszernym wstępie. A przecież są to okoliczności z punktu widzenia historyczno-socjologicznego bardzo istotne, a nie przynoszące ujmy ani Baranowskiemu, ani Natansonom.

Tu przychodzi na myśl opinia prof. Krzysztofa Jasiewicza, że autodefinicja pewnego warszawskiego uczonego „Polak pochodzenia żydowskiego” to „dość ciekawa konstrukcja, zważywszy, że oboje rodzice byli Żydami”. „Dość ciekawa” oznacza tu chyba ironiczne, a w każdym razie lekceważące odrzucenie. Ta norymberszczyzna w tekście Jasiewicza, w świetle jego dotychczasowego dorobku,

nie dziwi. Dziwi natomiast, że znalazł się w ostatnim numerze pisma „Arcana” (nr 108), zredagowanym jeszcze przez Andrzeja Nowaka i Macieja Urbanowskiego. Że też nie zadrżała im ręka przy podpisywaniu tego numeru do druku. Są przecież profesorami Uniwersytetu Jagiellońskiego, którego chlubę stanowili m.in. Władysław Natanson, Leon Sternbach, Rafał Taubenschlag, Juliusz Kleiner, Ludwik Ehrlich, Józef Feldman – uczeni, których polskość jest według kryteriów prof. Jasiewicza co najmniej wątpliwa.

W tymże artykule prof. Jasiewicz nie po raz pierwszy twierdzi, że pogromy i ekscesy antyżydowskie z lata 1941 r. miały swe „ze wszech miar racjonalne podstawy w zachowaniu się Żydów w sowieckiej strefie okupacyjnej w latach wojennych”, a Polacy nie są w stanie tych pogromów zaakceptować ze względu na ich „skrajną formę i stosowanie zasady zbiorowej odpowiedzialności”. Ciekawe jak sobie autor wyobraża pogromy w pełni racjonalne i zasługujące na akceptację, bo dokonywane w formie mniej skrajnej i bez zbiorowej odpowiedzialności?

Rekordy zadufanej ignorancji bije Tomasz Kalita jako autor artykułu *Pisarze progu epoki. Epizody literackie* umieszczonego w tegorocznym „Pomocniku Historycznym »Polityki«”. Szydzi z Konopnickiej, która rok 1863 spędziła w Wiedniu z mężem i dopiero co urodzonym synkiem, że „tylko z tym pewnie mógł się jej kojarzyć ten rok”. Autor nie wie o licznych poematach, wierszach, nowelach pisarki poświęconych powstaniu (skrytykował to już słusznie Krzysztof Masłoń w „Do Rzeczy” 2013, nr 2). Ważna, odważna i wcale obszerna *Omyłka* Prusa to dla Kality tylko „drobna nowelka ilustrująca przekonania pisarza o bezsensie powstańczego życia” – zdanie świadczące o tym, że nie czytał on tego utworu. Kalita twierdzi też, że „Bałucki nie pisał nic o powstaniu stycziowym”. Nie wie biedaczysko nic o dwóch powieściach Bałuckiego powstaniu poświęconych – *Przebudzeniu* (1864) i *Młodzi i starzy* (1866).

Niedokładnie zapamiętał *Naszą szkapę* Rafał A. Ziemkiewicz („Do Rzeczy” 2013, nr 2). Matka narratora nie jest wdową – przeciwnie, to ona umiera przed zupełnie zdrowym mężem. No i autor nie rozumie słowa „pachciarz”, skoro pisze, że ową rzekomą wdowę obdzierali z resztek majątku „zblatowani pachciarze”. Pachciarz oznaczał wiejskiego

dzierżawcę bydła, ogrodu. Polonista z wykształcenia powinien o tym wiedzieć!

Ukończona została edycja *Dzieł wszystkich* Bolesława Leśmiana (PIW), wielka to zasługa Jacka Trznadla. Dziwi jednak dlaczego w ostatnim tomie (*Utwory dramatyczne. Listy*) umieszczone zostały listy wdowy i córki poety do edytora. Prawie wszystkie dotyczą honorarium za rękopisy Leśmiana, będące w posiadaniu rodziny. Jeden, najobszerniejszy, napisany przez córkę, Marię Ludwikę Mazurową, zawiera głównie plotki i insynuacje (określenia samego Trznadla) dotyczące kochanek Leśmiana i jego samego. Są one dla niego kompromitujące – ukazuje się w nich nie tylko jako erotoman i kabotyn, ale jako człowiek po prostu nieuczciwy. Czy takie listy warte są publikacji? O tym można dyskutować. Ale poczucie taktu sugeruje chyba, że nie należy ich wpychać do edycji dzieł Leśmiana.

Pisze prof. Leszek Szaruga („Polonistyka” 2013, nr 1): „O ile pamiętam w antyku europejskim instytucja krytyki literackiej nie istniała – owszem, w tym czasie powstawały pisma estetyczne, wszakże nie ma tu oceny poszczególnych utworów”. Prof. Szaruga źle pamięta – np. epejomy Homera gruntownie, później zaginione, dzieła poświęcił Arystarch, Zoil, Krates z Mallos (twórca terminu „krytyka”). Mylące jest również twierdzenie, że „dawne wieki” nie znały terminu wyodrębniającego literaturę piękną „z obszaru szeroko pojętej kategorii piśmiennictwa”. Przecież kategorią taką była w czasach starożytnych poezja. W poetykach średniowiecznych zaliczano do niej również prozę narracyjną.

Pamięć zawodzi Janusza Andermana („Gazeta Wyborcza” z 14 II 2013), gdy zauważa, że już Jan Kochanowski swoje obowiązki wobec kraju znał i zdobył się na wiersz o arcypolskiej wierzbie, przemawiając w jej imieniu do narodu: „Gościu, siądź pod mym liściem a odpoczni sobie”. Żarty żartami, ale to była lipa, nie wierzba.

Oto fragment felietonu *Walentynki dla pani Ani* zamieszczonego w tygodniku „W Sieci” (2013, nr 6), który wciąż rozdziera szaty, z oburzeniem piętnując brutalność języka swych przeciwników: „Na okładkach pism wygląda pani szałowo. Żadna tam Marilyn Monroe czy Czesia z *Klanu* pani nie podskoczą. One wydają się takie sztuczne, a pani jest naturalna i taka wesoła. Taka prawdziwie wesoła,

CAMERA OBSCURA. REMANENT ZALEGŁOŚCI

co może wynikać wyłączenie ze spełnienia. W pani skupiły się wszelkie kanony kobiecości. Naparzyć się nie można. Życzę pani z okazji walentynki, żeby taki świątły człowiek jak pan Palikot albo Rozenek z pani partii poprosili panią o rękę. Ach, co to byłby za ślub! Dwór angielski zostałby zakasowany w kategorii uroczystości z pompą. W sumie, żeby wytyczać nowe kierunki, moglibyście się pobrać we trójkę. Wyobrażam sobie panią w sukni ślubnej. Całą na biało i wcale bym nie zakładała welonu, bo te gadki, że ma pani fizjonomię jak koń czy bokser, to żenada. [...] Byle tak dalej, pani Aniu, i życzę laski, marszałkowskiej, oczywiście; żarcik taki niewinny”

Autor chyba nie wie, że zmiana płci to nie sprawa kaprysu, ale medyczny ratunek przed stanami depresji, a nawet samobójstwem. Ale nawet jeśli nie wie – jego tekst jest wyjątkowym chamstwem, tym bardziej obrzydliwym, że przez panią Grodzką niczym nie sprowokowanym. Warto zapamiętać nazwisko pismaka, który felieton napisał: Ryszard Makowski. Używam celowo pogardliwego określenia „pismak”. Bo słowa pogardy nie da się czasem unikać.

Przemysław Skrzydelski („W Sieci” 2013, nr 7) pisze w recenzji *Ożenku* Gogola w reżyserii Iwana Wyrypajewa: „Jeszcze kilka miesięcy temu sugerowałem, iż Wyrypajew na tyle uniwersalizuje język, że kwestia granic gatunku traci dla niego znaczenie. Dochodzi do podmiany sceny na agorę. Liczy się kontakt z widzem, ponad kulturową idiomatykę. Tak było niedawno w jego *UFO. Kontakcie*. Tym razem poszedł dalej, starając się podporządkować *Ożenek* prawidłom skrupulatnie budowanej przez siebie strategii. Bo w jego dramatach ten ton wyraźnie pobrzmiwa, subtelna różnica pomiędzy postacią zza czwartej ściany a aktorem, który stara się z nią zidentyfikować, jest na nowo zdefiniowaną misją teatralnego spotkania. Komunikat na serio: gram postać, ale jestem też performere opowiadającym historię, działał paradoksalnie jeszcze mocniej niż w przypadku klasycznego psychologizowania. W tej dziwnej manierze buzowały znaczenia, i to w megadawce; od tragicznego losu z samego dramatu niepostrzeżenie przechodziliśmy w plan odtwórcy roli. Wyjątkowo trudne zadanie. Realizacje *Tańca Delhi* czy *Iluzji* były tego najlepszym dowodem.

Jednak implantowanie tej filozofii do *Ożenku* to pomysł skazany na porażkę. Gogol uzbroił tekst w groteskę dominującą już na samej powierzchni,

dlatego próba jakiegokolwiek jej wyostrzenia kończy się pleonazmem konwencji”.

Czytałem trzy razy – i nadal nie rozumiem. Przemysław Skrzydelski jest komentatorem Programu Drugiego Polskiego Radia. Biedni ci słuchacze...

A oto, co pisze Marcin Kościelniak („Tygodnik Powszechny” 2013, nr 6) o poznańskim spektaklu sztuki *Balladyna* Marcina Cecko w reżyserii Krzysztofa Garbaczewskiego: „Wulgaryzmy są tu na miejscu: są feministycznym, ostrym i brutalnym narzędziem demontażu patriarchalnej matrycy kolonizującej kobiecość. *Balladyna* wszak [...] w drugiej części spektaklu staje się kołem zamachowym dla retoryki przeciw patriarchalnej i, co za tym idzie, antynarodowej”. „Narzędzie demontażu patriarchalnej matrycy kolonizującej kobiecość”; „*Balladyna* kołem zamachowym dla retoryki”! Taką polszczyznę pisze się dziś recenzje teatralne! Radziłbym autorowi i redakcji „Tygodnika Powszechnego”, by przeczytali sobie w *Słowniku terminów literackich* hasło „katachreza”.

Od dawna czekałem na okazję, by umieścić w „Camerze” prof. Martę Wykę, bo to przecież dowód tolerancji redaktorki naczelnej „Dekady” i niezależności Kamerzysty. Nareszcie okazja się trafiła: oto profesor Marta w wywiadzie udzielonym Andrzejowi M. Kobosowi (*Po drogach uczonych*, t. v, Polska Akademia Umiejętności, Kraków 2012, s. 546) mówi, że kiedy po *Liście 34* ojciec jej „stał się dla Komitetu Centralnego PZPR osobą niewygodną, został z dnia na dzień zwolniony ze stanowiska dyrektora Instytutu Badań Literackich”. Szkopuł w tym, że *List 34* podpisał Wyka w r. 1964, a przestał być dyrektorem IBL w r. 1970. O sobie znalazłem w tym wywiadzie miłe słowa, za które pięknie dziękuję, ale muszę się upomnieć o to, że to ja byłem promotorem doktoratu Marty Wyki, a nie Stefan Żółkiewski, jak czytam na s. 543. Nie ufałbym tu swej pamięci, ale tak podaje słownik *Współcześni polscy pisarze i badacze literatury*.

Dla równowagi rzucam kamyczek do własnego ogródka. W tomie *Skrzydlate słowa 2* umieściłem słowa „Instrukcja obsługi” jako podtytuł powieści Georges’a Pereca *Rzeczy*. Tymczasem – jak mi to wytknął w liście prof. Grzegorz Gazda – jest to podtytuł innej jego powieści – *Życie*.

W eseju Krzysztofa Michalskiego *Historia jako pokusa* z r. 1990, teraz przypomniałym przez „Gaze-

tę Wyborczą” (z 23–24 II 2013) czytamy, że ukąszenie heglowskie wielu intelektualistów Europy Środkowej, także i polskich, było m.in. zasługą Lukácsa, zwłaszcza jego książki *Historia a świadomość klasowa*. Michalski był znakomitym filozofem, ale myli się, uważając, że w swej książce Lukács twierdził, iż dopóki robotnicy nie zdobędą adekwatnej do swej sytuacji świadomości „depozytariuszem tej świadomości jest Biuro Polityczne Partii Komunistycznej”. Trudno też zgodzić się, że to lektura *Historii i świadomości klasowej* oddziaływała na poglądy polskich zwolenników „nowej wiary”. O ile pamięć mnie nie myli – nie ma najmniejszych śladów jej oddziaływania w całej publicystyce „Kuźnicy”. Adam Schaff na pewno wiedział, że ta książka Lukácsa z r. 1923 została uznana za heretycką i że Lukács musiał się od niej odżegnać. Żółkiewski czy Kott – jak się zdaje – znali wówczas tylko niektóre pisma Lukácsa z lat 30. XX w. dotyczące literatury.

„Do Rzeczy” (2013, nr 5 i 6) publikuje sylwetkę aktorki Zuli Pogorzelskiej i reżysera Michała Waszyńskiego w rubryce pt. *Pitaval II RP*. Z jakiej racji? Ani Pogorzelska, ani Waszyński żadnego przestępstwa nie popełnili, ani nie byli też ich ofiarami. Czyżby redakcja nie rozumiała słowa „pitaval”? (Zarzut ten dotyczy także późniejszych felietonów z tej rubryki – przyp. w korekcie).

Mała antologia Rymkiewiczowskiej myśli narodowej: „Ważniejsze jest stwierdzenie [Słowackiego], że Polska jest Siostrą Ukrzyżowanego” – „Polacy, chcąc bronić swojej cywilizacji, muszą opowiedzieć się przeciwko cywilizacji europejskiej”. „[Rosja] to nie jest imperium słowiańskie, tam są Mongołowie, to zawsze było imperium Mongołów”. „Kto chce się pojednać z Mongołami, zobaczy swoją głowę wbity na mongolski pal”. „Rosja w sferze duchowej nie ma nic do zaproponowania – ani nam, ani konającej Europie”. „W życiu polskim, tym publicznym, jest bardzo mało przestrzeni dla ludzi, którzy chcą pozostać Polakami”. „Polaków może być więc mało. Ważne, żeby byli dobrymi Polakami. Dobrą drużyną Bolesława Chrobrego”. „[W odpowiedzi na pytanie, co zrobić z tymi, którzy są wśród nas, ale nie chcą być Polakami] odpowiedziałem trzema słowami – »jebał was pies«” („Arcana”, nr 108).

W dwojaki sposób można na to wszystko zareagować. Można powstrzymać się od rewanzu na końcowe wyzwisko, bo to – jak pisał Tuwim – „mezalians byłby dla psa”. Ale można też perswadować:

Mistrzu, jest Pan wspaniałym poetą i świetnym esejistą, niech Pan jednak zrezygnuje z publicystyki, która zionie monstualną megalomanią narodową, nienawiścią i pogardą dla całych narodów, samozwańczymi pretensjami do przewodzenia „dobrym Polakom” i decydowania o tym, kto do nich należy, a kto nie. I nade wszystko niech Pan nie mówi w jednym tekście, jak Wernyhora i jak menel spod budki z piwem w Milanówku!

Myli się Jacek Szczerba („Gazeta Wyborcza” z 26 II 2013), twierdząc, że połowa bohaterów Karola Maya to „przybysze z c.k. monarchii”. C.K. monarchia to przecież Austro-Węgry, a postacie, o których tu mowa, to emigranci z Rzeszy Niemieckiej.

W „Nowych Książkach” (2013, nr 2) recenzja Janusza Tazbira z książki Jerzego Besali *Zygmunt Stary i Bona Sforza* nosi tytuł *Piękny i „bestia”*. „Bestią” nazywa Besala Bonę, ale dlaczego Zygmunt Stary miałby być pięknym?

Adam Leszczyński („Ale historia extra” z marca 2013, s. 86) oznajmia, że jednym z kulminacyjnych momentów kultu Stalina w Polsce był dzień 21 grudnia 1948 r., gdy kończył 70 lat. Autor pomylił się o cały rok – jubileusz ten obchodzono w r. 1949.

Nie bardzo troszczą się o fakty publicyści „Do Rzeczy”. Piotr Zychowicz (2013, nr 6) sądzi, że Andrzej Żdanow wraz ze starą gwardią bolszewicką został przez Stalina zamordowany. Wydaje mu się, że po śmierci Stalina nie było w całym „komunistycznym raju człowieka, który tego dnia nie zasypiałby z uśmiechem na ustach”. Tymczasem Żdanow, obdarzony do końca zaufaniem Stalina, zmarł we własnym łóżku w r. 1948. A po śmierci Stalina – dziwne to, ale prawdziwe – setki tysięcy ludzi i w ZSRR, i w krajach demokracji ludowej szczerze płakały.

Waldemar Łysiak z kolei (tamże) pisze, że po śmierci Stalina „piali” na jego cześć m.in. Miłosz i Lem, czego śladów w ich twórczości nie ma. Tenże autor („Do Rzeczy” 2013, nr 6, s. 56) jest przekonany, że odpowiednikiem rosyjskiego „samodzierzca” jest polskie „dziejymorda”. W rzeczywistości „samodzierzca” to władca absolutny, a „dziejymorda” (dokładniej: Dierzymorda) to nazwisko wymyślone przez Gogola dla jednej z postaci w komedii *Rewizor*.

Również w następnym numerze „Do Rzeczy” Łysiak strzelił byka – napisał, że *Odznaka za wier-*

CAMERA OBSCURA. REMANENT ZALEGŁOŚCI

ną służbę to pamiętnik pisarza Andrzeja Struga. Gdyby czytał kiedyś tę książkę, wiedziałby, że jest to dziennik fikcyjnego bohatera – młodziutkiego strzelca Pierwszej Kadrowej, który w zakończeniu umiera na gruźlicę.

A swoją drogą – z niesmakiem czyta się artykuł Łysiaka pt. *Carestwo* („Do Rzeczy” 2013, nr 6), napisany ze ślepą i tępą nienawiścią i pogardą dla Rosji i jej „kacapskich” mieszkańców. A przecież Rosjanie to nie tylko Iwam Groźny i Jeżow, ale także Hercen i Potiebnia, i Tołstoj. A także działacze Memoriału i tysiące zwykłych Rosjan, których życzliwość i pomoc z wdzięcznością wspominali polscy zesłańcy z czasów drugiej wojny światowej.

Jeszcze Łysiak. W numerze 5. „Do Rzeczy” opowiada on o rozmaitych hochsztaplerach, m.in. o jakimś Hiszpanie, który niedawno oszukał władze ukraińskie. Autor z radością pointuje: „Sicz zaporoska sfajdała się ze wstydu. I bardzo dobrze!”. Ciekaw jestem, jakby redakcja „Do Rzeczy” zareagowała, gdyby jakiś ukraiński felietonista opowieść o oszustwach słynnego „konsula” Jacka Silbersteina, któremu udało się oszukać polskie władze, zakończył słowami: „Te przekłete Lachy sfajdały się ze wstydu. I bardzo dobrze!”.

Nie wiadomo na jakiej podstawie Andrzej Horubała („Do Rzeczy” 2013, nr 6) wypomina Marii Janion, że „stanowiła postrach zjazdów polonistów, piętnując niemarksistowskie podejście do literatury”. Chodzi tu o zjazdy uniwersyteckich kół polonistycznych na przełomie lat 40. i 50. Byłem na nich wszystkich – Janion wygłosiła na drugim z nich napisany wspólnie z Drewnowskim referat o zagadnieniu fikcji literackiej, na trzecim – o poetach Skamandra (także wespół z Drewnowskim i Żmigrodzką). I w jednym i drugim nie gromiła przeciwników marksizmu, a w dyskusji – o ile mnie pamięć nie myli – głosu nie zabierała.

Andrzej Dobosz w gawędzie *Maratończyk* („Plus Minus” z 9–10 III 2013) słusznie stwierdza, że „zupelnym wymysłem” jest to, co pisał zmarły historyk Paweł Wieczorkiewicz o „słynnych rozważaniach Jana Kotta na temat wpływu handlu odeskiego na *Sonety krymskie*”. Ale w następnym zdaniu Dobosz się wycofuje – domyśla się, że „rzecz dotyczy zapewne uwag Kotta podczas rozprawy habilitacyjnej Stefana Żółkiewskiego *Spór o Mickiewicza*”. Sprawa wygląda trochę inaczej: we wczes-

nych pracach marksistowskich rozważano m.in. problem przyczynowo-skutkowego związku między eksportem zboża z Rosji w latach 30. XIX w. a poezją Lermontowa (o czym świadczy krytyczna wzmianka Eichenbauma w jego rozprawie *Literaturnyj byt* z r. 1927). Wiedział o tym zapewne Adam Schaff, gdy we *Wstępie do teorii marksizmu* z r. 1947 jako przykład wulgaryzacji marksizmu podawał fikcyjne, przez siebie sfabrykowane „wyjaśnienie *Pana Tadeusza* [...] podwyżką cen zboża na Litwie”. Dopatrywanie się takich związków między handlem a literaturą insynuowano niekiedy Żółkiewskiemu (nie Kottowi) na podstawie fragmentu *Sporu o Mickiewicza* (s. 84), w którym zwracał on uwagę, że poeta przybywszy do Odessy „właściwie po raz pierwszy w życiu znalazł się w dużym handlowym, bardzo już kapitalistycznym mieście. W mieście spekulacji zbożowych, w stolicy tej szlachty ukraińskiej, która na ziemiach zachodnich cesarstwa miała najbardziej świadome ambicje kapitalistyczne i możliwości takiego gospodarowania”. Zdaniem Żółkiewskiego, poeta w *Sonetach* obnaża trywialność tego arystokratycznego świata. O cenach zboża mowa jest u Mickiewicza tylko w ironicznym wierszu *Do wizytujących*, gdzie poeta przestrzega ich, że nie dość jest opowiadać, o czym wszyscy wiedzą, „że dzisiaj tam walczą, ówdzie obiad jedzą, Zboże tanie, deszcz pada, a w Grecji rozboje”.

Od czasu do czasu czyta się, że krakowianizmem są formy z partykułą „że”, typu „chodźże”. Opinia to całkowicie błędna. Przecież już w średniowieczu pieśń głosiła „A witajże, witaj nasz miły gospodyniel”. A Słowacki pisał w *Odpowiedzi na Psalmę przyszłości*: „Bądźże mi weselszej cery, Bo cię żywym być przymuszę”.

Bolesław Bierut-polityk zasłużył na potępiające oceny. Jeśli jednak Krzysztof Kłopotowski („Plus Minus” z 9 III 2013) nazywa młodego, bądź co bądź inteligentnego samouka i społecznika, z zawodu drukarza, „lumpem z Lublina”, jest to przejaw albo ignorancji, albo zaślepionej wrogości. Bo przecież „lump” (według *Słownika polszczyzny potocznej* Janusza Anusiewicza i Jacka Skawińskiego) to pogardliwie „człowiek stojący bardzo nisko w hierarchii społecznej, utrzymujący się z niewiadomych źródeł, naruszający normy życia społecznego”. A drukarz to był wówczas najwyższemu stawianemu zawód robotniczy!

Kłopotowski bardzo jednak lubi wyraz „lump”. W dalszym ciągu tego artykułu pisze, że beneficjen-

tami komunistycznego systemu była „biedota wiejska i miejskie lumpy”. Czyli ci mieszkańcy miast, którym system ten umożliwił awans społeczny, to same lumpy? Tako rzeczce patrycjusz z „Plus Minus”.

Marek Kornat („Nowe Książki” 2013, nr 2, s. 7) podstawową ideę polityczną Piłsudskiego formuluje w słowach „Niepodległość to impoderabilium i koniec”. Piłsudskiego uczono w gimnazjum łacińskim, więc na pewno wiedział, że słowo to jest przymiotnikiem, więc jedynie poprawną formą mianownika liczby pojedynczej jest tu „impoderabile”.

Zagadka: w związku z nagrodzeniem polskimi Orłami filmów *Pokłosie* i *Obława* Marcin Wolski („Do Rzeczy” 2013, nr 7) przepowiada, że „maluczko, a orły będą musiały zmieniać nakrycie głowy”. Ciekawe, co też to Marcin Wolski miał tu na myśli?

Leon Krupecki (postać autentyczna) i Stanisław Wokulski, bohater *Lalki*, tylko tyle mają z sobą wspólnego, że obaj żyli mniej więcej w tym samym czasie, obaj stali się zamożnymi kupcami, ożenili się bogato, byli syberyjskimi zesłańcami. No i jeszcze teść Krupeckiego ma na imię Franciszek, tak jak pierwszy mąż żony Wokulskiego, a nazwisko podobne – Mentzel. Wątpliwe te zbieżności wystarczą Rafałowi Skąpskiemu, by w tytule swego artykułu wysunąć hipotezę *Leon Krupecki pierwowzorem Wokulskiego?* („Twórczość” 2013, nr 2) i na sześciu stronach opowiadać o różnych jego przedsięwzięciach handlowych z *Lalką* niemających już nic wspólnego.

Dorota Wellman, dziennikarka i prezenterka telewizyjna („Wysokie Obcasy”, nr 10) z czułością i uwielbieniem opowiada o swej zmarłej matce, ale wplata przy tym takie zwroty, jak „nieprawda, że kobiety rozmawiają o pierdołach”, „nabijam licznik telefonu nie po to, żeby opowiadać o dupie Maryni”. Nie potępiam, nie gorszę się – tylko nie rozumiem, dlaczego do pełnej ekspresji słownej nawet w takiej sytuacji niezbędne są dzisiejszym młodym osobom wulgaryzmy. Zresztą nie tylko młodym. Bohdan Zadura („Twórczość” 2013, nr 2) zaczyna wiersz *Redukcja* słowami: „mój pierdolony monografista, jak Henryk B. nazywa Jarka B.”. Być może w najnowszym przekładzie *Hamleta* zamiast „Świat wyszedł z orbit” przeczytamy: „Świat się rozpierdolił”...

Wojciech Pięciak („Tygodnik Powszechny” z 10 11 2013) twierdzi, że w Polsce w r. 1945 „był z jednej

strony sowiecki totalitaryzm instalujący w Europie swój system (także rękoma Polaków, którzy się do nich przyłączyli), z drugiej zaś strony było właściwie całe (wyjąwszy komunistów) spektrum polityczne wywodzące się z przedwojennej Polski – od socjalistów przez ludowców po endecję”. Duże to uproszczenie. Jak w tym biało-czarnym schemacie umieścić takich ludzi, którzy z reżimem komunistycznym podjęli współpracę, jak Eugeniusz Kwiatkowski, Adam Krzyżanowski, gen. Stefana Mossor, Stanisław Lorentz, Tadeusz Manteuffel?

Złote słowa: „Cham nie dość, że jest chamski, to jeszcze po chamsku kota ogonem do góry odwraca, bo cham jest zawsze przekonany o swej racji” (Grzegorz Markowski, „Newsweek” 2013, nr 9).

hm



29 sierpnia 2013
zmarł w Nowym Jorku
PIOTR GRZYSOWSKI
performer i malarz